



KRZYSZTOF CZARNOTA

---

CZARODZIEJE

KONI



Noc była wyjątkowo ciemna, a podolski magnat leżał niespokojnie w swoim namiocie, szukając zawzięcie jakiegoś rozwiązania. Położenie było fatalne, wśród półdzikich Beduinów jego bezpieczeństwo wisiało na włosku, w każdej chwili można było spodziewać się napaści, tym bardziej, że Arabowie doskonale zdawali sobie sprawę, że Polak ma przy sobie znaczną gotówkę. Hrabia trochę lekkomyślnie zapuścił się w te strony zabierając bardzo skromną eskortę. Prawdę powiedziawszy liczyć mógł jedynie na wiernego sługę Mykołę, który w Jarczowcach od lat ujeżdżał i układał najdziksze nawet konie. Paru towarzyszących im Beduinów w razie zagrożenia nie kiwnęłoby nawet palcem. Kilka godzin mozolił się z własnymi myślami, wreszcie sporo już po północy, znużony zasnął. Śniło mu się, że Beduini odbierają mu Abu – Chejla, a następnie mordują porzucając ciało, gdzieś w bezkresnej pustyni. Nagle poczuł, że czyjaś dłoń delikatnie spoczęła na jego ramieniu. Hrabia zerwał się błyskawicznie, spodziewając się najgorszego. W kompletnych ciemnościach usłyszał znajomy głos:

Panie, to ja.

Mykoła? – upewnił się Juliusz.

Tak.

Czego chcesz?

Panie Hrabio, konie posiadłane uciekajmy.

Słowa Mykoły postawiły Juliusza na nogi, a umysł błyskawicznie zaczął analizować sytuację.

A ten Arab pilnujący Abu – Chejla.

Związałem go i zakneblowałem, szybko, musimy uciekać zanim ktokolwiek się obudzi.

Hrabiemu nie trzeba było dwa razy powtarzać, w ciemnościach zmacał podróżną torbę, odruchowo sprawdził, czy jest w nim ciągle mieszek z talarami.

Przysięgam, że jeśli cało uniesiemy głowy z tej imprezy, niczego ci w życiu nie zabraknie – powiedział do wiernego sługi.

Szybko panie, powtórzył Kozak.

Jestem gotów, uciekajmy.

Kilka minut później dochodzili do starej, na wpół uschniętej palmy, do której przywiązane były konie. Obozowisko wyglądało na uspione, gdzie nie gdzie dopalały się jeszcze dające nikłe światło ogniska. Noc była chłodna i jak na pustynię rześka. Idąc, Juliusz o mało nie potknął się o leżącego, związanego strażnika. Pomyślał, że wierny sługa cokolwiek go zaskoczył. Znał Mykołę, jako bardzo spokojnego człowieka, który miał niezwykle dużo cierpliwości i łagodności w stosunku do koni, które ujeżdżał. Jak widać, kiedy zachodziła potrzeba potrafił działać zdecydowanie, nawet agresywnie. Tym lepiej, jeżeli cało wyniesiemy stąd głowy, Mykoła nie będzie już sługą, ale przyjacielem, postanowił. Kozaka znał od zawsze, bo od kiedy Juliusz sięgał pamięcią, Mykoła zawsze był tuż obok jego ojca. Razem z hrabią Kajetanem polowali na wilki, jeździli konno, a kiedy pan wybierał się w podróż czy to do Wiednia, Warszawy, czy najbliższych sąsiadów, wierny Kozak obowiązkowo mu towarzyszył.

Juliusz dopinał popręg Abu – Chejla, oceniając chłodno szanse ucieczki. Był przekonany, że siedząc na tym koniu nie pozwoli się dojść pogoni. Troską napawał go koń Mykoły, co będzie jeśli wierzchowiec Kozaka nie będzie mógł galopować równie szybko.

Skąd masz swojego konia – zapytał hrabia, w ciemności widząc tylko kontury drugiego wierzchowca. Wykradłem spod namiotu po drugiej stronie obozowiska. Panie Hrabio to Gazella. Chwała Bogu – wyszeptał Juliusz.

Gazella była najszybszą klaczą w trybucie. Dwa dni wcześniej hrabia nabył ją jako perłę Arabistanu, od członków tego samego, specyficznego gościnnego plemienia, płacąc krocie, ale w absolutnym przekonaniu, że jest tego warta. Sto siedemdziesiąt lat później, mogą tylko potwierdzić, że Juliusz Dzieduszycki miał niesłychane oko do koni. Gazella dała w Jarczowcach bardzo wiele dobrych arabskich. Jej córki i wnuczki rozrodziły się w linię, bez której ciężko wyobrazić sobie współczesną hodowlę koni arabskich na świecie. Przedstawicielki i przedstawiciele Gazelli obecni są na wszystkich kontynentach, konie te zdobywały i zdobywają mistrzostwa, championaty świata, brylują na wyścigowych torach. Nawet mój ukochany Mąciwoda wywodzi się po matce, a jakże, z linii Gazelli. Nie dogonią nas – szepnął Kozak dosiadając klaczy.

Nie dogonią – powtórzył jak echo Hrabia.

Konie ruszyły z kopyta w czarną pustynię. Uciekinierzy byli już dość daleko, kiedy w obozowisku podniesiono alarm. Abu – Chejl galopował na przedzie, a zaraz za nim siwa w hreczce klacz, która nie ustępowała mu kroku. Gnali przed siebie na złamanie karku, praktycznie pozbawieni orientacji w otaczających ciemnościach. Na szczęście nawykłe do pustyni konie, sobie tylko wiadomym zmysłem skrętnie omijały ostre skały czy łąchy głębokiego piachu. Po jakimś czasie usłyszeli za sobą strzały. Nie padały one specjalnie blisko, ale nie pozostawiały wątpliwości, że pościg jest na ich tropie. Konie galopowały znakomicie. Wyrzucany spod kopyt idącego przodem Abu – Cheila piach, uderzał Mykołę prosto w twarz. Pochylony, niemal wtulony w końską grzywę Kozak, nic sobie jednak z tego nie robił i gnał jeszcze szybciej, powtarzając co chwila:

Nie dogonią, nie dogonią.

Jak tam – krzyczał hrabia nie odwracając głowy.

Oj dobrze, dużo dobrze, jak u młodych pod pierzyną – odpowiadał Kozak, a zaraz po tym dodawał: - Nie dogonią.

Zaczęło się rozwidniać, a konie w dalszym ciągu szły w najlepsze, nie zwalniając tempa biegu. Ich oddech był cichy, miarowy świadczący o tym, że mają jeszcze sporo siły. Kiedy słońce pojawiło się na niebie z radością zauważyli, że obrany w ciemnościach kierunek ucieczki, jakimś cudem okazał się prawidłowy. Niebiosa im sprzyjały.

Kilka kilometrów dalej dojechali do skały, na której siedział stary obdarty Arab. Juliusz przypominał sobie, że widzieli go w tym samym miejscu kilka dni temu zmierzając do pustynnego obozowiska.

Starzec pozdrowił ich ruchem ręki, tak jakby życzył im szczęścia. Konie skręciły przy skale obierając kurs prosto na wschodzące słońce i popędziły dalej.

Kwadrans później pod tą samą skałą pojawił się rozwrzeszczany pościg, złożony z kilkudziesięciu Beduinów dosiadających najbardziej rącznych pustynnych wierzchowców.

Stójcie, stójcie zawołał siedzący na wyniosłości starzec.

Jeźdźcy natychmiast rozpoznali w wołającym starego Ahmada, którego na pustyni uważano za świętego mędrca, otaczając wielkim szacunkiem. Arabowie na znak szacunku posiadali z koni, bijąc pokłony.

Z czym przybywacie dobrzy ludzie? – zapytał starzec.

Ojcze, ścigamy giaura, który ukradł nam konie i okrył hańbą całe nasze pokolenie – odezwał się członek plemiennej starszyny.

Widziałeś go może, dwa konie, ucieka razem ze swoim sługą.

Starzec zamiast odpowiedzieć zapytał:

A na jakich siedzą koniach?

Jeden to Abu – Chejl, drugi to Gazella.

Głupi! – powiedział silnym głosem mędrzec.

Widziałeś ich ojcze, musieli tędy przejeżdżać?

Głupi – powtórzył z naciskiem starzec. – Czyż Abu – Chejla nie zwiecie ojcem wszystkich koni, ceniąc jego szlachetność i niespożytą moc?

Tak właśnie jest, Abu – Chejl, to najlepszy i najbardziej wytrzymały wierzchowiec jaki biega po piaskach pustyni.

A czy o Gazelli – ciągnął stary Arab – nie mówicie, że jest najszybszą klaczą w całym trybucie?

To prawda, żaden inny koń nie pokona Gazelli, chyba jeden Abu – Chejl – odpowiedzieli zgodnie goniący.

Głupi – powtórzył po raz trzeci mędrzec.

Ale dlaczego, ojcze...

Głupi, bo jak wy chcecie dogonić dwa najszybsze wierzchowce w całym trybucie?

Stropili się na te słowa nieustraszeni pustynni wojownicy. Nikt z uczestników pościgu nie był w stanie odpowiedzieć na to dość oczywiste pytanie. Arabowie pokręcili się jeszcze chwilę, gorączkowo, żywo gestykulując rękoma wymienili między sobą kilka zdań, a następnie wsiedli na konie i zawrócili kierując się do własnego obozowiska.

Stary Arab jeszcze długo odprowadzał ich wzrokiem, przypominając sobie, jak to wiele lat temu, pewien możny i dobry pan, pochodzący z tego samego kraju, co dzisiejszy uciekinier, którego Beduini okryli emirskim płaszczem, uratował jego rodzinę przed śmiercią głodową, dając pieniądze i zapewniając dach nad głową.

Słońce wisiało już nisko nad pustynią, kiedy nasi bohaterowie wjeżdżali w wąskie uliczki Damaszku.

Konie mimo, że nie piły od rana i z rzadka tylko spoczywały, szły dziarskim stępem, rozglądając się żywo na boki, z tą, daną jedynie wierzchowcom czystej krwi bystrością i inteligencją w oku. Hrabia Juliusz i Mykoła uśmiechali się do siebie, przeczuwając rychły, a szczęśliwy koniec tej niebezpiecznej przygody. Wkrótce też odszukali konsulat austriacki, za murami, którego konie i jeźdźcy znaleźli bezpieczne schronienie.